

1 W półmroku sali kawiarnianej gospodarz porządkuje stoliki i krzesła, rozstawia popielniczki i syfony z wodą sodową. Jest szósta rano.

Nie potrzeba mu światła, nie bardzo nawet zdaje sobie sprawę ze swoich czynności. Śpi jeszcze. Jakieś bardzo stare prawa rządzą każdym najmniejszym jego ruchem, jakby raz na zawsze wyłączonym z biegu ludzkich poczynań; każda sekunda to jeden ruch: mały krok, przesunięcie krzesła o kilkanaście centymetrów, trzy strzepnięcia ściereczką, półobrót w prawo, dwa kroki naprzód, każda sekunda coś znaczy, jest wykorzystana bez reszty, spokojnie, doskonale. Trzydzieści jeden. Trzydzieści dwa. Trzydzieści trzy. Trzydzieści cztery. Trzydzieści pięć. Trzydzieści sześć. Trzydzieści siedem. Każda sekunda ma swoje miejsce dokładnie wyznaczone.

Niestety, już wkrótce czas przestanie być panem sytuacji. Wypadki tego dnia, nawet te najmniejsze i najmniej znaczące, uwikłane w krąg błędów i wątpliwości, już za chwilę rozpoczną swoje machinacje, będą stopniowo podkopywać idealny ład, wprowadzać skrycie, tu i tam, jakieś odwrócenie kolejności, jakieś przesunięcie, zaburzenie, skrzywienie, aby w końcu, krok za krokiem, dokonać dzieła: przemienić ów wczesnozimowy dzień w bezplanowy, bezkierunkowy, niezrozumiały i potworny.

Ale na razie jest zbyt wcześnie, zaledwie odryglowano drzwi od ulicy, jedyna obecna na scenie osoba jeszcze nie weszła w posiadanie własnej egzystencji. Jest to godzina, gdy dwanaście krzeseł schodzi powoli z marmurkowych stolików, na których spędziły noc. I nic poza tym. Nieświadoma ręka gospodarza ustawia dekoracje na ich zwykłe miejsca.

Kiedy wszystko jest już gotowe, zapala się światło...

Gospodarz, tęgi mężczyzna, stoi właśnie, starając się połączyć wśród krzesel i stolików. W podłużnym lustrze nad barem chybotrze się chorobliwy obraz: tłusty właściciel z cerą wątrobiarza, zielonkawy, z rozmazanymi rysami, tkwi pośrodku swojego akwarium.

Po drugiej stronie, w szybie wystawowej odbija się ta sama postać rozplywająca się z wolna w świetle rodzącego się na ulicy dnia. Niewątpliwie ta właśnie postać uporządkowała przed chwilą salę; teraz powinna być już tylko zniknąć. W lustrze jeszcze drży rozmazany, niemal już zupełnie, zarys tego widma; długi szereg cieni coraz chybotliwszych: gospodarz, gospodarz, gospodarz... Gospodarz – smutna mgławica rozpuszczona we własnej aureoli.

Powoli, mozolnie gospodarz wynurza się z tego kręgu. Wyławia, na los szczęścia, kilka pływających wokół niego okrucichów. Nie warto się spieszyć, o tej porze nie ma jeszcze dużego ruchu.

Pochyliwszy się do przodu, wspiera się oburącz o taflę stołu, na w pół dopiero przebudzony wpatruje się nie wiadomo w co: to ten kretyń Antoni ze swoją gimnastyką szwedzką każdego ranka. I ten jego różowy krawat z przedwczoraj, może wczoraj. Dzisiaj mamy wtorek; Janina przychodzi później.

Dziwna mała plamka; co za świństwo ten marmur, wszystko na nim widać. To wygląda jak krew. Wczoraj wieczorem Daniel Dupont, o dwa kroki stąd. Sprawa raczej podejrzana: włamywacz nie wchodziłby przecież umyślnie do oświetlonego pokoju, ten typ chciał go zabić, to nie ulega kwestii. Porachunki osobiste albo co? W każdym razie niezręczność. To było wczoraj. Trzeba to zaraz sprawdzić w dzienniku. Ach, prawda, Janina przychodzi później. Kazać jej kupić także... nie, jutro.

Roztargnione machnięcie ściereczką, jakby jakieś alibi, po dziwnej plamce. Między lustrem a szybą wystawy, jak między dwiema taflami wody, przesuwają się jakieś niewyraźne, niedosiężne cienie; a może są to po prostu puste miejsca.

Trzeba, aby Janina zaraz rozpałała w piecu; tego roku wczesnie robi się zimno. Handlarz ziół mówi, że to zawsze tak, kiedy czternastego lipca pada; może to i prawda. Oczywiście ten kretyń Antoni, który zawsze chce mieć rację, stara się za wszelką cenę udowodnić coś przeciwnego. Zielaar zaraz zaczyna się wściekać, cztery, pięć szklaneczek białego wina i już gotów; Antoni nigdy nic nie widzi. Na szczęście gospodarz był na posterunku. To było wczoraj. A może w niedzielę? Tak, w niedzielę: Antoni był w kapeluszu; ten kapelusz nadaje mu wygląd spryciarza! Kapelusz i różowy krawat! No tak, ale przecież wczoraj miał również krawat. Nie. A zresztą czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Gniewny ruch ściereczki raz jeszcze usuwa ze stołu wczorajszy kurz. Gospodarz prostuje się.

Odczytuje na szybie odwrócony napis „Pokoje umeblowane”; od siedemnastu lat brakuje tam dwu liter; od siedemnastu lat ma zamiar dać je domalować. Brakowało ich już za czasów Pauliny; kiedy wprowadzali się, mówili...

Zresztą do wynajęcia jest tylko jeden pokój, tak że w ogóle to idiotyzm. Rzut oka na zegar. Wpół do siódmej. Należy obudzić tego typu.

– Do roboty, leniuchu!

Tym razem odezwał się prawie na głos, usta wykrzywił mu grymas obrzydzenia. Gospodarz nie jest w dobrym humorze; nie wyspał się należycie.

Prawdę mówiąc, nieczęsto bywa w dobrym humorze.

Na pierwszym piętrze, w końcu korytarza, gospodarz puka do drzwi, czeka parę sekund i, nie słysząc żadnej odpowiedzi, puka znowu mocniej, kilka razy. Za drzwiami zaczyna dzwonić budzik. Prawa ręka gospodarza zastyga wyciągnięta do uderzenia w drzwi, właściciel ze złośliwym zadowoleniem nasłuchuje reakcji śpiącego.

Ale nikt nie zatrzymuje budzika. Po upływie mniej więcej minuty dzwonek milknie sam, wydając, jakby zdziwiony tym, co narobił, kilka zduszonych brzęknięć.

Gospodarz puka jeszcze raz: ciągle nic. Uchyła drzwi i wsadza głowę; w bladym świetle poranka można dostrzec rozrzuconą pościel, nieporządek w pokoju. Wchodzi do środka i rozgląda się dokoła: nic podejrzanego, tylko puste dwuosobowe łóżko, bez poduszki, z jednym tylko zagłębieniem odcisniętym przez głowę na wałku zastępującym poduszkę, z kocem odrzuconym w nogi; na umywalni emaliowana miednica pełna brudnej wody. Dobra, facet musiał już wyjść, to jego sprawa. Wyszedł, ale nie przez salę, bo wiedział, że nie dostanie tam jeszcze gorącej kawy, a zresztą nie miał obowiązku się meldować. Gospodarz wychodzi wrzuszając ramionami; nie lubi gości wstających wcześniej niż wszyscy.

Na dole zastaje jakiegoś klienta, który czeka na niego stojąc, typ nijaki, raczej nędzny, żaden ze stałych bywalców. Gospodarz wchodzi za ladę, zapala jeszcze jedną lampę i spogląda nieprzychylnie na klienta, gotów warknąć, że na kawę jeszcze za wcześnie. Ale przybysz pyta tylko:

- Czy można się zobaczyć z panem Wallasem?
- Wyszedł – odpowiada gospodarz, notując jeden punkt na swoją korzyść.
- Kiedyż to? – mówi gość nieco zdziwiony.

- Dziś rano.
- Dziś rano? O której?

Niespokojne spojrzenie na ręczny zegarek, potem na zegar ścienny.

- Nie wiem – powiada gospodarz.
- Nie widział pan, jak wychodził?
- Jakbym widział, tobym wiedział o której.

Grymas politowania podkreśla ten łatwy sukces. Przybysz zastanawia się chwilę i dorzuca:

- A zatem nie wie pan także, kiedy wróci?

Gospodarz nawet nie zadaje sobie trudu, aby odpowiedzieć. Atakuje z nowych pozycji:

- Co panu podać?
- Małą czarną.
- Nie ma kawy o tej porze – pada odpowiedź.

Ten mały, smutny pajaczek, nieustannie zajęty łataniem strzępów swojej nędznej inteligencji, w sam raz nadaje się na ofiarę. Zresztą skąd on może wiedzieć, że Wallas w ogóle przyjechał wczoraj wieczór tutaj, do tego obskurnego bistro przy ulicy Piechurów? Coś tu nie jest w porządku.

Wygrawszy na czasie wszystkie swoje atuty gospodarz przestaje się interesować gościem. Z obojętną miną wyciera butelki, a ponieważ przybysz nic nie zamawia, gasi obie lampy. Jest już dostatecznie jasno.

Gość wyszedł, mamrocząc jakieś niezrozumiałe zdanie. Gospodarz odnajduje się znowu pośród swoich kulawych sprzętów, poplamionych marmurków, krzesel, których politura lepi się miejscami od tłustego brudu, i uszkodzonego napisu po drugiej stronie szyby. Ale męczą go widma bardziej uparte, wzrok mącą mu plamy ciemniejsze niż te od wina. Usiłuje je rozpędzić niecierpliwym gestem, na próżno: nieustannie po-

wracają... Ruch ramienia, muzyka zagubionych słów, Paulina, słodka Paulina.

Słodka Paulina, zmarła w tak dziwnych okolicznościach już dawno temu. Dziwnych? Gospodarz nachyla się do lustra. A cóż w tym było dziwnego? Złośliwy grymas deformuje stopniowo jego twarz. Czyż śmierć nie jest zawsze dziwna? Grymas zaostrza się, w końcu tężeje w maskę maskary, która długą chwilę kontempluje sama siebie. Potem jedno oko zamyka się, usta się wykrzywiają, połowę twarzy ściąga skurcz; w lustrze ukazuje się jeszcze ohydniejsze monstrum, które rozplywa się natychmiast, ustępuje miejsca spokojnemu, niemal uśmiechniętemu obliczu. Czy Pauliny.

Dziwnych? Nie jestli to rzecz najnaturalniejsza z wszystkich? Choćby ten Dupont, czy nie dziwniejsze jest to, że on właśnie nie umarł. Powoli gospodarz zaczyna się śmiać, niemym, pozbawionym wesołości śmiechem, podobnym do śmiechu lunatyka. Zgromadzone wokół niego widma naśladują go, wykrzywiają się, każde na swój sposób. Nie żałują sobie, błaznują, szturchają się w boki łokciami i klepią się z rozmachem po plecach. Jak je teraz uspokoić? Tak ich wiele. I są u siebie.

Znieruchomiały przed lustrem gospodarz obserwuje swój uśmiech; za wszelką cenę stara się nie dostrzegać tamtych, którzy mrowią się po sali jak wesoła psiarnia, rozpętana burza drobniutkich ukłuć serca, reszta pięćdziesięciu lat zmarnowanego życia. Rozpętana przez nich wrzawa stała się już nie do zniesienia, okropny koncert rżenia przeplatanego kłapnięciami, aż nagle, w ciszy, która zapadła, znienacka rozlega się śmiech młodej kobiety.

– Do diabła!

Gospodarz odwraca się, wyrwany z koszmaru własnym okrzykiem. Oczywiście, nie ma ani Pauliny, ani tamtych. Zmęczonym wzrokiem wodzi po sali spokojnie oczekującej tych, którzy dopiero nadejdą; spogląda na krzesła, gdzie zasią-

dą mordercy i ich ofiary, na stoliki, przy których podadzą im wspólny posiłek.

Otóż i Antoni, dobrze się zaczyna.

– I co, znasz już nowiny?

Nawet ruch głowy nie markuje odpowiedzi. Stanowczo gospodarz nie jest dzisiaj w nastroju. Jedźmy dalej, mimo wszystko.

– Wczoraj wieczorem zamordowano niejakiego Alberta Duponta, tego z naszej ulicy.

– Daniela.

– Co, Daniela?

– Daniela Duponta.

– Ależ nie, mówię ci, że Alberta; właśnie tam...

– Przede wszystkim nikogo nie zamordowano.

– Nie, tego już za dużo. Cóż ty możesz o tym wiedzieć, skoro cały czas siedzisz w tej swojej knajpie?

– Telefonowano stąd. Jakaś staruszka. Ich linia była uszkodzona. Lekka rana ramienia.

(Biedny głupiec, ten zawsze wie najlepiej).

– Otóż właśnie, że nie żyje! Zobacz w gazecie; mówię ci, umarł.

– A masz gazetę?

Antoni przeszukuje kieszenie płaszcza, potem przypomina sobie:

– Nie, zostawiłem żonie.

– A widzisz, nie upieraj się: on ma na imię Daniel i wcale nie umarł.

Nie można powiedzieć, żeby Antoni miał zadowoloną minę. Zdaje się zastanawiać, co by też można wymyślić bardziej przekonującego niż ironiczny chichot, ale gospodarz nie pozostawia mu na to czasu.

– Napijesz się czy zwiewasz?

Konflikt byłby się pewnie zaostrzył, gdy nagle w otwartych drzwiach stanął jakiś obdarty typ, gwałtownie gestykulujący, okragły na twarzy i uśmiechnięty.

– Dzień dobry, chłopcy. Wiecie, mam dla was zagadkę.

– Dobra, dobra, już wiemy – odparł Antoni.

– Nie, kochasiu – rzekł dobrodusznie nie zbity z tropu przybysz. – Nikt tego nie wie. Nikt, rozumiesz? Jedno białe, gospodarzu!

Sądząc po minie pocziwca jego zagadka musi być naprawdę niezwykła. Chcąc, aby słuchacze nie uronili ani słoweczka, zaczyna cedzić powolutku, jakby dyktował:

– Co to za zwierzę, które rano...

Ale nikt go nie słucha. Z pewnością wypił już o kieliszek za dużo. Jest śmieszny, to prawda, ale tamci dwaj nie mają dziś głowy do żartów: pomiędzy nimi waży się życie człowieka!

2 Ulica Piechurów jest prosta i długa, po obu jej stronach ciągną się domy, dosyć już stare, dwu- i trzypiętrowe; brzydkie, niestarannie utrzymane fasady pozwalają domyślać się ubóstwa zamieszkujących wnętrza lokatorów: robotników, drobnych urzędników, biednych rybaków. Sklepy nie grzeszą wykwintem, kawiarenki nie są zbyt liczne, i to nie dlatego, aby ci ludzie byli zbyt wstrzemięźliwi, ale po prostu wolą pić gdzie indziej.

Kawiarenka „Sprzymierzonych” (wyszynk napojów alkoholowych i pokoje umeblowane) mieści się na samym początku ulicy, pod numerem 10, zaledwie o kilka domów od bulwaru Okrężnego i od śródmieścia, jej otoczenie jest dziwaczną mieszaniną stylu mieszczańskiego i robotniczego. Na rogu ulicy i bulwaru wznosi się duży murowany budynek o bardzo po-

rzadnym wyglądem, naprzeciwko, pod numerem 2, coś w rodzaju małej, piętrowej willi, otoczonej wąskim pasem zieleni. Budowla nie jest zbyt stylowa, ale sprawia wrażenie dobrobytu, a nawet pewnego zbytku; krata i żywopłot z trzmieliny, strzyżony na wysokość człowieka, podkreślają jeszcze jej odosobnienie.

Na wschód ulica Piechurów ciągnie się daleko, coraz mniej zachęcająca, aż ku dzielnicom już całkiem dziwnym, wyraźnie nędznym: płatanina błotnistych drózek między barakami ze starych desek, krytymi zardzewiałą blachą i smołowaną papą.

Od zachodu, po drugiej stronie bulwaru Okrężnego i kanału, rozpościera się miasto: ciasne uliczki, wysokie ceglane domy, budynki użyteczności publicznej pozbawione najmniejszych ozdób, kościoły jak skamieniałe na swoich miejscach, wystawy sklepowe urządzone bez cienia fantazji. Całość solidna, miejscami nawet zamożna, ale surowa i chłodna; kawiarnie zamykają się wcześniej, okna mieszkań są wąskie, ludzie poważni.

A jednak to smutne miasto nie jest nudne: skomplikowana sieć kanałów i basenów wprowadza w jego serce morze, oddalone zaledwie o sześć kilometrów na północ, stąd woń morskich ryb, stąd mewy, a nawet kilka lekkich stateczków, galarów, łodzi przybrzeżnych i małych holowników, które przepływają przez niezliczone śluzy, pod obrotowymi mostami. Woda i ruch wpływają orzeźwiająco na umysły ludzi. Dobiegające z portu w porze przyływu odgłosy syren transportowców budzą echa wśród doków i magazynów, przynosząc ludziom powiew przestrzeni, pokusę zapomnienia.

Ponieważ mieszkańcy tej dzielnicy są ludźmi trzeźwymi, pokusa ucieczki i zapomnienia pozostaje tylko pokusą: od dawna głos syren wzywa na próżno.

